Rozmaitości

Dnia 11. Lutego Nr 6. 1837 Roku.

UROK MIŁOŚCI.

Powieść wschodnia.

(Ciąg dalszy.)

Nic nie jest trwałém na tym świecie, ani wierność dziewic, ani nawet przysięga męż-czyzn, a przeto los rozerwał i ten rzadki węzeł przyjaźni monarchy z wezyrem. Nowa wojna z nieprzyjaciołmi państwa wezwała wezyra na czele wojska do walki, by nigdy więcej nie powrócił. Abderamen miał więc teraz więcej przyczyny odwiédzania pałacu *Arizapha*, ponieważ w objęciach przyjaciółki li wynagrodzenie za stratę przyjaciela znajdował. Razu jednego z rana zgromadził się dywan do pałacu *Arizapha*, dla naradzenia się nad pewną ważną okolicznością. Dygnitarze państwa, naczelnicy czarnych i białych rzezańców, wezyrowie i kadowie oczekiwali w pokornéj postawie przybycia kalifa. Za najmniejszym szmerem w poblizkości sali radnéj, albo gdy przelotny wietrzyk zaigrał firankami drzwi, prowadzących do gmachów niewieścich, firankami podnoszącémi się tak niespokojnie, jak gaza na piersiach dziewiczych, mniemało zgromadzenie dywanu, że kuzyna słońca oglądać będzie, i wszystko w największéj pokorze i z oznaką czołobitności padało na twarz, najprzepyszniejsze kaftany tarzały się po ziemi, a nosy dotykały prochów podłogi. Lecz panowie radni mylili się zawsze! Nikt nie nadchodził i czasami tylko przez tę powszechną ciszę zabrzmiały dźwięki lutni, lub odezwał się głos żałosnéj piosnki romansowéj, jakie poezyja hiszpańska w chłodzącym cieniu rozognionych drzew granatowych utwarzać zwykła. Pomiędzy tém słychać było także niekiedy głośny śmiéch, raz czysty i delikatny, jak srébrny odgłos dzwonka, a byłto śmiéch faworyty, to znowu grubo i donośnie brzmiący, jak dzwón na wieży, i byłto śmiéch Abderamena, władzcy. Członkowie dywanu przetrwali może kilka godzin w tém pełném uszanowania oczekiwaniu i lubo ich twarze przeciągały się często z niecierpliwości, żaden jednak nie śmiał w słowach wynurzyć wewnętrznych uczuć swoich. Nareszcie derwiszowie ze wszystkich minaretów wezwali prawowiernych do rozmyślań pobożnych i wszedł naczelnik czarnéj straży pałacowéj, dla rozwiązania dywanu, ponieważ kalif postanowił w towarzystwie Izabelli odprawić przejazdkę po wodzie, a radę państwa na czas dogodniejszy odroczyć raczył. Raz jeszcze wszystkie kaftany i nosy na te monarsze wyrazy z największą uniżonością dotknęły się ziemi, i cały dywan powoli i poważnémi kroki oddalił się z sali radnéj. Jeden tylko starzec z łysą głową i z długą srébrno-włosą brodą nie ruszył się z poduszek sofy, i zdawało się, że nie zrozumiał mowy naczelnika straży przybocznéj, którą dywan rozwiązał. Naczelnik, po oddaleniu się wszystkich dygnitarzy, rozkaz odejścia pozostałemu starcowi dosłownie i wybitniejszym głosem powtórzył; lecz kady z Korduby, bo nimto był ów srébrno-włosy starzec, siedział tak nieruchomie na swojém miejscu, jak gdyby był dłutem Kanowy wykuty. Gdy się to dzieje, nadszedł kalif, prowadząc piękną faworytę po pod rękę. Przechodząc koło miejsca, gdzie kady jak wryty siedział, zatrzymał się z podziwieniem, a swawolna dziewica na tę postać poważną głośnym parsknęła śmiéchem. Ale strażnik praw padł płackiem do nóg Abderamena. Monarcha cofnął się o kilka kroków i zapytał: »Kady

Korduby, czego tu jeszcze przebywasz? Czy nie słyszałeś moich rozkazów?«

»Słyszałem je władzco wiernych!« odrzekł starzec, nie zmieniając wszakże swojéj postawy.

»I dla czegoż mądry przyjacielu nie wypełniłeś moich rozkazów?«

»Panie! posłuchaj ludu, przemawiającego przez usta moje, ale piérwéj oddal tę niewierną od twojego boku.«

Kalif rozgniewany chwycił za sztylet, ale na raz inaczéj się namyśliwszy, rzekł z uśmiéchem: »Głos całego ludu nie może żadną miarą być tajemnicą państwa, mów przeto otwarcie, ale ile można jak najkróciéj.«

Kady podniósł głowę i usiadł w pełnéj uszanowania postawie na dawném miejscu z założonémi na krzyż nogami, otarł pot z czoła i tak rzecz swoję rozpoczął: »Najjaśniejszy panie! pozwól, bym ci opowiedział jednę z bajek, napisaną w księgach Fasli Szeszemdego: W państwie zwiérząt, powiada ten wyborny poeta, panował nieporządek, i rozprzęgły się wszystkie węzły stosunków towarzyskich. Drapieżne zwiérzęta uczyniły zmowę na słabe i bezbronne zwiérzęta domowe, rządziły niemi samowładnie i uciskały je okrutnie. Uciemiężone źwiérzęta podnosząc głosy swoje, skarżyły się przed lwem, królem zwiérząt. Ale lew był głuchym, nie doszły uszu jego skargi wzywających o pomoc; dotknięty ślepotą, nie widział niesprawiedliwości możnowładzców; czuł tylko — miłość, i w jéj rozkoszach upływał. Na to powstał stary niedźwiedź, któremu krzywdy ludu zwiérzęcego serce dotykały i tych kilka dni, co mu jeszcze do życia pozostać mogły, niósł chętnie w ofierze, dla powiedzenia prawdy przed tronem króla zwiérząt. Bez bojaźni przystąpił do jaskini lwa, bo ważność poselstwa utwierdzała go w przedsięwzięciu, a mając tylko swój wielki zamiar przed oczyma, jak wędrownik cel swojéj podróży, nie zważający na grożące mu pochłonieniem przepaści, śmiało stanął przed lwem i wezwał go imieniem całego świata zwiérząt, by zerwał te niegodne pęta, serce ku ludowi swojemu zwrócił, a owę czarnoksiężnicę, która go z tessalską ujarzmiła przebiegłością, by oddalił od swojego boku!«

Swita kalifa umiérała prawie ze zgrozy na tę niesłychaną śmiałość starca, dworzanie zatykali uszy, by tylko nie dosłyszeć owych niesmacznych wyrazów prawdy, a w myśli nie mogli zgodzić się z sobą, czy ten Cicero Wschodu za ucho do bramy przygwożdżony i na pal wbity zostanie, lub czy mu w nagrodę jego otwartości milijon — pałek bambusowych wyliczą.

Kalif w istocie pasował się ze swojemi myślami, czy ma kadego za mającego pomieszanie zmysłów ogłosić, lub czy mu dać ma uczuć potęgę swojego gniewu. Gdy tak rozmyślał, dał się słyszeć cieniutki, łagodny głosik Izabelli: »Czyż niewiadomo ci, dostojny panie (rzecze), że król zwiérząt jest powszechnie ze spaniałomyślności swojéj chwalonym, stary zaś niedźwiedź, jak mędrcowi Korduby w paraboli swojéj samego siebie nazwać się podobało, nie uchodzi bynajmniéj za wzór grzeczności. Kady już z tego powodu, że tak dobrze przybrany swój charakter utrzymać umiał, zasługuje na twoje monarchiczne przebaczenie, a to tém bardziéj jeszcze z téj przyczyny, iż przez niego dowiadujesz się o sposobie myślenia twoich poddanych, którzy mi twojéj miłości zazdroszczą. Pozwól zatém, by ten Ezop Korduby z tą pociechą mógł się ztąd oddalić, że nie daremnie opowiedział nam swoję bajkę, nie daremnie mądrą osobę swoję aż do niedźwiedzia zniżył!«

Abderamen, ułagodzony wesołémi wyrazami Izabelli, dobrotliwie staremu gdéraczowi skinął głową, a ponieważ w onym czasie nie były jeszcze w używaniu tanie nagrody końskiemi ogonami, udarował go przeto futrem honorowém, co w gorącym klimacie Hesperyi było bardzo dobroczynnym podarunkiem i odejść mu kazał, nie chcąc swojéj przejazdzki wodnéj zaniedbać.

Kady odszedł dumnie przez tłum zdziwionych dworzan i powrócił do Korduby z przekonaniem, iż powinność swoję wypełnił i oczekując wrażenia swych przedstawień.

Gdy obudziwszy się nazajutrz nad wczorajszym wypadkiem rozmyślał, strach go cokolwiek z obawy złych skutków ogarnął. Wybiérał się właśnie wyjść z pomieszkania i udać się do izby sądowéj, gdy mu o poselstwie od kalifa doniesiono. Stary moralista przeląkł się nie pomału, a sznurek jedwabny czując już na szyi, oczekiwał ze drżeniem posłów, którzy z sobą zasłonioną niewiastę przyprowadzili.

»Halif, pan nasz miłościwy, którego Ałłah oby ciągle błogosławił!« rozpoczął naczelnik poselstwa, »jest dla ciebie łaskawym czcigodny kady Korduby. Zbawienna mowa twoja zajęła umysł jego i na dowód, że za twojemi radami pójść nie omieszka, przysyła ci w darze sprawczynię tych nieporozumień. Ma być odtąd twoją niewolnicą i nadaną zostaje ci moc rozrządzania według woli jéj życiem lub śmiercią.«

Kady nie mogąc wszystkiego dokładnie zrozumiéć, już miał na języku pytanie względem niektórych wątpliwości, lecz posłowie już byli tymczasem odeszli, zostawiwszy mu dziewicę, ów powabny, zwodniczy dar, owo jabłko niezgody, w samotność życia jego rzucone. Zmieszał się mędrzec i stał, jak gdyby trzech zliczyć nie umiał, a kto w téj chwili byłby czytał w jego obliczu, ten byłby go niewątpliwie miał za głupiego. Na raz przypomniał sobie swoje urzędowe zatrudnienia, i mimo sędziwego wieku pobiegł, jak oparzony, na sądy, spodziéwając się, że za powrotem dójdzie, coby ten dar niespodziéwany miał znaczyć. W czasie urzędowania rozmaite myśli krążyły po jego głowie, a mało co słysząc i rozumiejąc z rozpraw sądowych, tak się zabałamucił, iż wydawał bardzo niesprawiedliwie wyroki, i tak zbójcę na trzy dni o chlebie i wodzie zamknąć, a pewnego człowieka, za to tylko, że się upił, na pal wbić rozkazał.

»Jeźli kalifowi w głowie się przewróciło,« mówił kady sam do siebie, »że taki cud piękności mnie najlichszemu z poddanych swoich podarował, to ja jeszcze głupszy jestem, iż na ten dar monarchiczny ani nawet popatrzyć raczyłem. Azaliż najdostojniejszy mój władzca nie rozgniewa się, skoro się dowié, że tak mało cenię dawną posiadawczynię jego serca? Czyliż mnie już nie opuściły namiętności, bym czego miał się obawiać, czyż krew w moich żyłach nie zaczyna płynąc powolniéj, i czyliż nie wspiéra mnie filozofija, jak jeniusz proroka? Cóżto jest ziemska piękność? Jestto kwiat, który dzisiaj w pączek się rozwija, jutro zakwita, a więdnie wieczorem, zdeptany w prochu i zapomniany. Cóż mi przeszkadzać może, bym w chwili zakwitnienia nie uradował się widokiem kwiatu, myśląc przytém o jego znikomości i o powszechnym losie nietrwałości ludzkiéj?«

Takiemi uzbrojony sofizmatami, stary kady usiadł na dywanie, zapalił fajkę, i z odwagą oficéra, który kompaniję swoję do ataku na okopy prowadzi, rozkazał, ażeby nowa niewolnica przyszła naléwać mu kawę, jako staremu Jowiszowi młodociana Hebe.

(Dokończenie nastąpi.)

JÓZEF GUZIKÓW W PARYŻU.*)

Przed kilkoma laty widywano w Warszawie Żydka, zwanego *Josiek*, który na instrumencie przez siebie wynalezionym, popisywał się za *co łaska* po kawiarniach i szynkowniach. Instrument jego składał się z kilkunastu wałeczków drewnianych, niejednakowéj grubości, ułożonych na równéj słomie, na których wynalazca, z natury muzykalny, ale nie znający ani nóty, dwiema drewnianémi pałeczkami wydobywał nie tylko tony, lecz wygrywał rozmaite melodyje. Byłyto cymbałki, w których nic nie było z kruszcu, a wszystko z drzewa. Ten sam Żydek z tym samym instrumentem przywędrował teraz do Paryża, występował w ostatnich dniach listopada na teatrze opery komicznéj i... powszechne zjednał sobie oklaski. Wziął się do tego tak zręcznie, jak wprawnie wywija pałeczkami. Postarał się najprzód o znajomość któregoś członka akademii, i dał mu koncert w jego mieszkaniu; uczony i grzeczny Francuz zdziwił się, widząc po raz pierwszy instrument nieznany w Paryżu i nie szczędził wynalazcy tém większych pochwał, im więcéj w nim spostrzegał naturalnego do muzyki usposobienia. Guzików, bo tak się nazwał, ułożył natychmiast, lub kazał sobie ułożyć, wiadomość do dzienników o przybyciu do Paryża sławnego wynalazcy nowego instrumentu, który pozyskał pochwały *członków* tutejszéj akademii i obiecał publiczności, że wkrótce zaspokoi jéj ciekawość. W kilka dni potém na-

*) Ten sam, którego zna publiczność nasza z publicznych i w prywatnych domach dawanych koncertów w r. 1835. Umieszczamy o nim artykuł naszego korespondenta umyślnie dla tego, aby okazać, jakich przebiegów używają artyści i dziennikarze w Paryżu dla zwrócenia uwagi publiczności i zrobienia sobie sławy, i jak umieją popiérać wymyślone bajki przytaczaniem imion osób. które w wymienioném miejscu nawet podówczas nie były, co się odnosi szczególniéj do księcia Galiczyna, u którego Guzików miał dawać koncert we Lwowie. (Przyp. Redakcyi.)

pisał, lub kazał sobie napisać swoję biografiję i ogłosił ją w kilku dziennikach. Warto ją umieścić dla osobliwości:

»*Józef Guzików. Jerowa i Salamo.* Starzy pastérze nie zapamiętali śniegu na wiérzchołkach Kaukazu, aż oto jednego poranku wypędzając trzody na równiny, spostrzegli na spaniałych gór szczycie obszérną bielą, która go podobną czyniła do głowy starca. Brzask dnia pomału wychodził z po za widokręgu. Pobożny pustelnik wychylał się w tym samym czasie z kamiennéj celi, którą przemyślna natury ręka w opokach tych gór dla niego wykowała. Mróz był tak ostry, że na uśnieżonéj ścieżce zaledwie pozostawał ślad jego sandałów, i gdy tak ciągle idzie, stopa jego o coś zawadza; zatrzymuje się, odsuwa śnieg laską i spostrzega niewiastę młodą, piękną. Po bogatym ubiorze poznał zaraz, że była z rodu zamożnego. Podniósł ją w oka mgnieniu, zaprowadził do swojéj groty, dodał drzewa ognisku, posilił nieszczęśliwą kroplami wzmacniającémi i służył jéj, o ile mu pozwolił wiek prawie stuletni. Nieznajoma przyszła zwolna do siebie i z wdzięcznością spoglądając na swego spaniałego dobroczyńcę, ścisnęła go za rękę. Z razu myślała, że po upadku z wysokości skał wnet odzyska siły, ale osłabiona musiała zawcześnie wydać na świat, w obec nieba i kapłana, dziécię biédne, nędzne. »Nieszczęśliwa istoto!« rzecze matka, »przychodzisz na świat, byś mi odebrała życie.« — »Powierzam ci go,« rzekła daléj, »ale nie odmawiaj mi jednéj łaski: syn mój jest dzieckiem izraelskiém; jestem z Kowna, odprowadź go do mojego kraju, niech tam żyje, jak ja żyłam, w ojców moich wierze...« Byłyto ostatnie jéj słowa. Piérwszy głos dziécięcia odebrał jéj życie.«

»Samotny kapłan kaukazki wykopał nazajutrz grób blizko swojéj pustelni i składając w nim ciało nieszczęśliwéj, która nie miała nawet czasu powiedziéć mu swojego nazwiska, odmówił nad jéj zwłokami święte słowa swego posłannictwa pokoju i miłosierdzia. Pomiędzy klejnotami, które miała na sobie, znajdowała się bransoletka, a na niéj wyryte były trzy tajemnicze głoski J. J. S. Zakonnik zachował ją starannie, by ją oddać siérocie, gdy do lat przyjdzie. Dziecko rosło szczęśliwie, dzięki pastérzom z równin, którzy dostarczali dla niego mléka koziego, a chociaż słabowite, schodziło każdego poranku na równinę, podzielać zabawy tych ludzi wiejskich; w ciągu dnia, kiedy słońce dogrzywało, siadali razem w cieniu i grywali na piszczałkach. Chłopczyk przysłuchiwał się chciwie tonom dziwacznym i rozwdzięcznym, a wkrótce prześcignął swoich mistrzów.«

»Ale nadszedł dzień podróży, trzeba było puścić się w drogę do Kowna. Siérota wziął na siebie swój i pustelnika lekki tłumoczek, i obadwaj ruszyli w drogę. Dniem piérwéj przepędził wieczór klęcząc przy grobie matki i tam w téj postawie pokornéj zaszły dziwne rzeczy, o których nikt nie wié, o których nikt może nic się nie dowié. Dowiedziano się tylko poźniéj, że przez cały ten czas przyciskał do serca drogą bransoletkę, że wywoływał cienie matki, i chciał się od niéj dowiedziéć znaczenia trzech głosek, które, jak się domyślał, musiały być głoskami początkowémi nazwiska jego ojca.«

»Była w owym czasie wojna w Rossyi, wojska się ściérały, ludzie się zabijali; pustelnika i młodego towarzysza jego zatrzymano w drodze, i powiedziono przed naczelnego wodza. Kiedy stanęli przed sędzią, już tylko jeden mógł być badany, drugi był trupem. Aże dziecko mówiło językiem, którego nie rozumiano, jenerał przywołał tłumacza, któryby mu opowiedział odpowiedzi jeńca. Biédny chłopiec, cały przejęty żalem po stracie drugiego ojca, byłby znużył cierpliwość swego pana, gdyby tłumacz zdjęty litością, nie był go nakłonił do odpowiadania. Opowiedział o sobie, co mu było wiadomo, wyraził cel swéj podroży i mówił o swojém po pustelniku osieroceniu. Jenerał zamyślał z razu umieścić go w muzyce pułkowéj, ale zmienił postanowienie, kiedy się zastanowił, że chłopiec nie mając żadnych początków muzyki, na nie wieleby mu się przydał. Ustąpił go więc swemu tłumaczowi, i dał mu go za służącego. Tłumacz ten nazywał się *Reb-Uri-Guzików*, i od tego czasu siérotę także tak nazywano. Kiedy pokój stanął, Józef Guzików, idąc za radą swego dobroczyńcy, postanowił dawać serenady wieczorne. Był on w istocie z natury tak cudownie usposobionym, iż nie znając ani jednéj nóty, odznaczał się w nocnych koncertach na wędrówkach i ulicach. W krótkim czasie tak

się wsławił, iż kiedy przybył do Lwowa, stolicy Galicyi, książę Galiczyn chciał go słyszeć na świetnym wieczorze. Józef Guzików przybył tam wiele poźniéj po umówionéj godzinie, a to dla tego, że mu nagle zniknął tłumacz, jego wybawca, o którym od tego czasu żadnéj nié miał wiadomości. Kiedy wszedł do salonu przyjęty był ze szmerem pochlebnym. Sam książę wziął go za rękę i przedstawił swym gościom. Wszyscy mieli głowy odkryte, tylko Guzików, w ubiorze Żydów polskich, zatrzymał na głowie czapeczkę, z pod któréj spadały bogate pierścienie czarnych włosów. Zajął najprzód damy nadzwyczajną bladością twarzy i delikatnością ciała. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, słuch całego towarzystwa był natężony. Józef, przy księciu stojąc, otworzył pudełko, w którém się znajdował flet jego. Ciekawość ogarnęła zgromadzenie, kiedy książę Galiczyn, chcąc przypatrzyć się jakimś drewienkom, na spodzie pudełka ułożonym, nachylił się i zapytał, coby one znaczyły. »Sąto kawałki drzewa, które sam łamałem na górach kaukazkich.« — »A to co?« zapytał znowu książę, wskazując na słomę. »Na téj słomie przyszedłem na świat i na niéj umarła moja matka.« To mówiąc Józef zatrzymał w oczach dwie łzy pełne żalu. — »Sąto więc pamiątki twoich lat dziecięcych. Dobrze czynisz, że je zachowujesz.« — »JO. książę, są one czém innném jeszcze, jestto instrument mój, objawiony mi przez niewidzialne duchy téj nocy, kiedym żegnał grób matki.« — »Czy tak!« przerwał mu książę, równie zdziwiony jak wszyscy, którzy do koła rozmowy téj słuchali; »i jak nazywasz ten instrument?« — »Nazywam go trzema głoskami, których znaczenie samemu Bogu wiadome, głoskami wyrytemi na bransoletce, z którą się nie rozstanę nawet po zgonie, tak drogie dla mnie jéj pochodzenie, tak wielką daje pociechę méj duszy.« To mówiąc odwinął rękaw i pokazał na lewéj ręce obróżkę złotą z cyfrą *J.J.S.* »Z tych trzech głosek,« mówił dalej, »ułożyłem trzy wyrazy *Jerowa i Salamo*, i to samo nazwisko dałem memu instrumentowi. Teraz kiedy wam wszystko powiedziałem, co mogłem wam wyjawić, nie pytajcie mię więcéj.« — »Przecież,« rzekł książę, »gdybym cię prosił, abyś nam zagrał na tym instrumencie, czybyś mi tego odmówił?« — »Byłbym posłuszny,« odpowiedział Guzików, i natychmiast rozłożył kawałki drzewa i słomę, a za pomocą dwóch lekkich pałeczek, któremi uderzał i w słomę i w drewienka, zaczął wydobywać tony niesłychanéj czystości, i zdawało się, że aniołowie dmuchali w słomki, i że ręka niewidoma uderzała w struny arfy. Wszyscy osłupieli z zadziwienia. Nagle Guzików omdléwa i pada. Przyszedłszy do siebie, znajdował się już w swojém mieszkaniu na swojém łóżku. Na stoliku spostrzegł kilka listów polecających, do Berlina, do Petersburga, do Frankfortu. Kieska ze złotem wskazywała dawcę tych listów; ale nie znalazł w pudełku swego fletu, tylko instrument cudowny był w niém złożony. Józef Guzików zrozumiał znaczenie tego wszystkiego i puścił się w podróż. W Berlinie taki obudził zapał, iż tamtejsze damy nie mogły się nasłuchać jego zachwycających melodyj, i ażeby dłużéj je w pamięci zachować, zaczęły się trefić *á la Guzikow.* Ale jak w Berlinie jednym z hołdowników tego niepojętego gędźbiarza była moda, tak w Petersburgu jeszcze większe spotkały go względy. Guzików żadnych darów nie przyjmował, bo ma do spełnienia inne posłannictwo. Kiedy przybył do Frankfortu, pewien bankier bogaty pragnął go mieć u siebie, i zaprosił na bal, urządzony umyślnie dla niego. Już północ się zbliżała, a Józefa jeszcze nie było. Nazajutrz sam bankier odwiedził go, chcąc się zapewnić, czy nie zachorował. Guzików mu odpowiedział: »Dowiedziałem się, że pan mieszkasz na drugiém piętrze, a mam w zwyczaju nie nosić nigdy mego instrumentu wyżéj, jak na pierwsze piętro.« Z Frankfortu puścił się Guzików do Paryża, gdzie się teraz znajduje, i gdzie już dał się słyszeć. Nikt nie wié, ile ma lat; może już wiek przeżył, a zdaje się mieć zaledwie lat 25. Od kiedy na świat przyszedł, nie zmieniał sposobu życia, do jakiego przyzwyczaili go pastérze kaukazcy. Żyje mlékiem, sypia ubrany, nie ćwiczy się na swoim instrumencie; modli się nieustannie, i dosyć dla niego usłyszeć jaki utwor muzyczny, zaraz oddaje go z całą wiernością i tak doskonale, że się zdaje czarownikiem. Dnia pewnego w Paryżu młody uczeń Spora, z którym się w Berlinie zaprzyjaźnił, i który od tego czasu jest jego towarzyszem, grał u siebie koncert na skrzypcach, niezmiernie trudny. Józef za-

myślony, pilnie się przysłuchiwał, a gdy skrzypek skończył, Guzików rzekł do niego: »Oto utwór doskonały, a nade wszystko doskonale wykonany!« potém położył się spać. Noc przepędził bezsennie, a zaledwie dnieć zaczęło, zerwał się z łóżka i grał na swoim *Jerowa i Salamo* cały koncert, dniem wprzódy słyszany. Prawdziwie, człowiek ten nie jest człowiekiem, jestto dusza pokutująca, która wydaje jęki, jestto jeniusz trapiony, dążący do najwyższéj ojczyzny. Guzików jest aniołem, jak Paganini szatanem. Piérwszy jest niebem dźwięku, drugi piekłem trudności; ten się uwziął dręczyć jednę strunę, tamten jest serafinem, brząkającym na zdźble słomy, którém wiatr pomiata. Nie wiém z resztą, co o nim powiedzieć. Cały Paryż usłyszy go, będzie go uwielbiać, będzie mu poklaskiwać, a niczego więcéj o nim się nie dowié.*) Józef Guzików zamyśla powrócić prosto z Paryża do gór kaukazkich, i tam ma nadzieję utworzyć na obszérną skalę sam jeden, tylko za pomocą swojéj myśli, taki instrument, który oddawać będzie na pochwałę Wszechmocnego i w przestrzeniach bez granic, ruch gwiazd i boski dźwięk światów nadziemskich, instrument olbrzymi, który utworzył już w mózgu, i którego słabym wzorem są drewienka, na których dziś grywa, a gdy spełni tę nadludzką pracę za pomocą straszliwych zasobów, padnie na kolana przy grobie matki, i dopóty wydobywać będzie seraficzne dźwięki na nowym instrumencie, tuląc do serca klejnot z trzema głoskami, dopóki nie umrze. Taka jego wola!«

»Tak dalece posuniętéj szarlataneryi, rzadkiéj nawet nad brzegami Sekwany, ani się można było domyślać w Żydku, wychowanym nad brzegami Niemna i Wisły. Z tém wszystkiém wiadomość o zdaniu członków akademii, o nowym i cudownym instrumencie, o człowieku, mającym do czynienia z duchami, musiała dojść do dyrektorów teatralnych, i jeden z nich, dyrektor opery komiczn
éj, piérwszy ofiarował Guzikowi bardzo korzystne warunki, aby tylko na jego scenie przepowiednię jeniuszu spełnił. Publiczność tak była z niego zadowolona, że mu trzy razy jedno powtarzać kazała, a Guzików tak był zadowolony z publiczności, że obiecuje bawić ją przez całą zimę. Krytycy dzienników poważnych, jak np: *Courier de France*, tak sobie nabili głowę jego biografiją, że w grze jego upatrują jakąś cudowność, a Danton, sławny modelownik karykatur gipsowych, uważa go za człowieka tak niepospolitego, ubiór jego, długą suknię i berlidek na głowie, tak dziwaczny, że postanowił go modelować. *Xaw. B.*

*) Pisane to było przed daniem koncertu przez Guzikowa. (P. Red.)

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

IX.

TARGI I SKŁADY PUBLICZNE.

(Ciąg dalszy.)

Co do budowy domów mieszkalnych wpadają Paryżanie w drugą ostateczność. Jak gmachy najwznioślejszéj natury chcą miéć karłowatémi, tak mieszkaniom swoim, gdzie często panuje nędza i poniżenie, nadawać chcą postacie olbrzymie. Wielustronni Anglików naśladownicy wolą przecież stawiać domy o siedmiu piętrach, niż mieszkania wygodne, gdzie życie jest swobodniejsze, i gdzie nie trzeba zrywać ani nóg, ani piersi.

Z budowami targowemi zupełnie ma się rzecz inaczéj. Najdawniejsze najmniéj odpowiadają przeznaczeniom targów; najnowsze dowodzą, że doświadczenie nie było stracone. Do tamtych należą tak zwane: *Marché Beauveau, Baulainvilliers, St. Catherine, d'Agusseau* i inne pomniejsze, nie mające właściwie żadnéj budowy, ale złożone jedynie z budek rozmaitego kształtu i wielkości nie jednakowéj, ustawionych zwykle na dziedzińcu jakiego dawnego pana, albo przy kościele. Byłato albo spaniałomyślna dla publiczności łaska, albo chęć zysku właściciela placu, które targi takie tworzyły. Z czasem dokoła tych placów stanęły zwyczajne domy i miejsce, już z natury swojéj niezdrowe, trudne do utrzymania w czystości, często bez fontanny, pozbawione zostało nawet przewiewu powietrza i rozszérzało zarazę, gdyby baczna policyja na te targi zapowietrzone ciągłéj nie zwracała uwagi. Opłaty od tych budek większe są niż na innych targach od sklepów porządnych i pokrytych, bo budowy ich wzniosły się przez stowarzyszenia, poprzestające zwykle na miernym procencie z wyłożonego kapitału, i dla tego przewidzieć można, że te dawniejszéj społeczności paryzkiéj zabytki powoli znikną i ustąpią miejsca nowszym, wygodniejszym, zdrowszym i tańszym tego rodzaju zakładom.

Na targach zwanych *des Innocens, des Jacobins, à la Viande*, na targach siana, słomy i owsa, widać już początki właściwego budownictwa targowego.

Marché des Innocens. Dla tego tak go nazwano, że w tém miejscu był dawniéj kościół *des Innocens*, i przy nim cmentarz. Kiedy się miasto rozszerzyło, cmentarz został w środku najludniejszych ulic i musiał być nie tylko zamknięty, ale nawet z gruntu przeniesiony. Zrzucono kościół i mury otaczające cmentarz, przeniesiono za miasto do podziemnych przez wydobywanie kamieni zrobionych katakombów pomniki grobowe, przewożono przez kilka miesięcy porą nocną powierzchnię ziemi, często jeszcze z całémi trunnami, potém nasypano warsty innéj ziemi i zrobiono *Marché*. Byłoto jeszcze za Ludwika XVI. Targ ten składa się z jednostajnych szop, bez ścian, nizkim pokrytych dachem i opartym na słupach drewnianych. Pod szopami temi, których dwie strony mają po pięćset, a dwie inne po dwieście pięćdziesiąt kroków, znajdują się murowane kramy i rozmaite sklepiki, otaczające plac czworokątny, pośród którego wznosi się fontanna. Znajdowała się ona dawniej przy cmentarzu, ale ponieważ była na przeszkodzie do założenia targu, zrzucono ją, tak jednak ostrożnie, że główne części przeniesione zostały do fontanny nowej, którą postawiono pośród nowego targu. Stoi na najwynioślejszym punkcie placu; podstawą jéj jest czworokątny, trzema kamiennémi stopniami otoczony wodozbiór, z posród którego wznosi się czworokątna kamienna, 42 stóp wysoka budowa, z każdéj strony arkadę przedstawiająca. Boki tych arkad ozdobione są pilastrami w stylu korynckim, a między niemi znajdują się

kamienne rzeźby, wyobrażające Najady. Pięć pozostałych z dawnéj fontanny daleko piękniéjszego jest dłóta, niż trzy dorobione później. Bogate rzeźby pod przodem stylu atyckiego i kopuła, pokryta miedzią w kształcie łuski rybiéj, zdobią tę fontannę. Przez arkady widać z każdej strony mały wodotrysk, spadający w kształcie snopka na kamienny krążek; z tego dokoła zléwa się woda w wodozbiór, daléj przelewa się w cztéry wanny ołowiane, postawione u stóp tyléż arkad, a cała ta massa wody, wyrzucona przez paszczeki cztérech lwów, napełnia wielki u samego spodu będący wodozbiór i małemi otworami rozchodzi się po rynsztokach targu. Na dawnéj fontannie znajdowały się niektóre napisy; po nad Najadami na tablicy marmurowéj był napis: *Fontium Nymphis.* Napis ten zatrzymano. Późniéj wyryto następujący wiérsz Santeuila:

Quos duro cernis simulatos marmore fluctus
Hujus nympha loci credidit esse suos.

Budowniczy, którzy fontannę po zburzeniu kościoła i przeniesieniu cmentarza na nowo stawiali, wypuścili na niéj napis tak nieprzyzwoity. Dopiéro w r. 1819 przywróciła go zbyteczna o zachowanie dawnych napisów gorliwość. Do dziś dnia czytać go można.

Obliczono, że wieśniacy przywożą nocną porą na ten targ, rocznie mniéj więcéj za ośmnaście milijonów franków. (Dalszy ciąg nastąpi.)

Z Pragi. W Nr. 1. z r. b. *Kwiatów*, pisma czasowego wydawanego w Pradze, umieszczone jest doniesienie, że panu Jungmanowi, układaczowi i wydawcy czesko-niemieckiego Słownika, temu czesko-sławiańskiéj literatury Nestorowi, o którym Kollar śpiewał: »Choćby i wyschło łoże Weltawiane*) — Twe, pokąd tylko Sławonii stanie — Będzie z wdzięcznością imię powtarzane,« ofiarowali niektórzy miłośnicy języka i rzeczy ojczystych z podgórza Kerkonoszów (Sudetów, *Riesengebirge*) dar, ile skromny tyle serdeczny: czaszę wyrobu domowego ze znamienitéj szklarni, znajdującéj się w Nowym-świecie, na czeskich granicach. Czasza ta, większa niż zwyczajne, jest ozdobiona rznięciem, wdzięcznie odbijającém od tła z połyskiem gładkiego, a ma w miejsce pokrywy szklącą się rozmaicie przeplataną koronę, któréj każde ramię pięknie rznięte, daje temu naczyniu wiele powabu. Po obudwóch wygładzonych stronach czaszy z rozkoszą dają się czytać słowa, któremi do czcigodnego męża jego bracia Kerkonoszowie przemawiają: *Luby ojczyznie, drogi Mladonie**), czci cię z zapałem wdzięczna Czechija!* z drugiéj zaś strony widzieć się daje rozwarta księga narodowego słownika Jungmana, ze słowami, które tenże rozpoczynają, dokładnie wyrytemi: *A, piérwsza głoska czeskiego abecadła*, któreto słowa wskazują cel i przyczynę tego daru; cokolwiek niżéj okazuje się napis: *I w Kerkonoszach wrzące serca.* — Podobną téjże czaszę ofiarował także wysoce uczonemu panu Jungmanowi jegm. ks. Wacław Peszyna, kanonik na zamku praskim. — Ogłaszając ten okaz wdzięczności dla pana Jungmana od jego ziomków, spodziéwam się, że i tutejszokrajowym mieszkańcom to ogłoszenie miłe będzie, bo napisanie doskonałego słownika z jednego narzecza mowy sławiańskiéj, jest dla wszystkich narzeczy sławiańskich wielką przysługą. *A.*

*) *Wltawa, Weltawa*, czyli *Bełtawa*, zdaje się pochodzić z jednego korzenia z *bałtyckiem* morzem od *bełtu*, bo jeszcze w »Królodworskiém rękopismie« jest wspomnienie o wodzie mętnéj i bełcącéj się téj rzeki, płynącéj pod Pragą, wsławionéj utopieniem Sgo Jana Nepomuka, a oraz ogromnym mostem ciosowym.

**) *Mladon* w czeskiém narzeczu jestto przesławiańszczenie nazwiska *Jungmana*.

Z Warszawy. Jedném z najpiérwszych dzieł, które r. b. wyszły z pod prasy drukarń warszawskich są: *Zasady fizyki doświadczalnéj*, przez Andrzeja Radwańskiego, magistra filozofii, profesora w warszawskiém gimnazyjum wojewódzkiém.

Towarzystwo entomologiczne w Paryżu, pana Antoniego Wagę, profesora przy gimnazyjum warszawskiém na Lesznie, mianowało ku końcu r. z. członkiem swoim. (D. P.)

Z Wiédnia. Do najznakomitszych balów, dawanych tutaj przez dostojną szlachtę w czasie tegorocznego karnawału, należy bal, dany d. 22. stycznia przez ambasadora wysokiéj porty, Ahmed-Fethi-baszę, w tegoż pałacu w *Mariahilf.* Zaszczycili bal ten obecnością swoją Arcyksiążęta Franciszek Karol, Albrecht, Karol Ferdynand i Fryderyk, trzéj ostatni synowie Arcyksięcia Karola, Arcyksiążę Maxymilian, królewicz Waza z małżonką, członkowie ciała dyplomatycznego i była na nim obecną najdostojniéjsza licznie zebrana szlachta. Wschody prowadzące do salonów balowych, przyozdobione były jak najsmakowniéj kwiatami i drogiemi dywanami, oświetlenie było jak najokazalsze, a w jednym z pobocznych salonów wystawiono pod baldachinem wizerunek sułtana Mahmuda II. Salon ten ubrany był draperyjami zielonego koloru, a na bogato haftowanym z pąsowego aksamitu baldachinie wyszyte były złotem to półksiężyce, to gwiazdy. Sułtan przedstawiony jest na wizerunku oparty na szabli, w ubiorze wojskowym, okryty po wierzchu zielonym płaszczem, z pąsowym suto haftowanym kołnierzem. Jestto szacowne dzieło sztuki malarza wiedeńskiego pana Schlessinger. Ambasador rozpoczął bal polonesem z małżonką królewicza Wazy, poczém melodyje Straussa, bawiąc licznie zgromadzonych gości, przyczyniały się do powszechnéj rozrywki, a zabawa aż do białego dnia przeciągniona, zajmowała w najwyższym stopniu doborem tego wszystkiego, co należało do podniesienia przyjemności balu, z tak znakomitych złożonego osób.

* * *

P. J. Willm, inspektor akademii w Strassburgu, chce obeznać Francuzów z filozofiją Hegla i wydaje zeszytami dzieło o niéj: *Essai sur la philosophie de Hegel.* Jestto cokolwiek za twardy kąsek dla żołądków francuzkich!

W roku upłynionym wydrukowano w Paryżu w różnych językach 6.632 dzieł.

D. 15. stycznia b. r. odbyła się w Paryżu w *Theatre français* wielka uroczystość. Byłto dzień urodzin Moliera. Piérwsi członkowie wszystkich teatrów byli do téj uroczystości użyci. Na wystawę wybrano sztukę Moliera: *Bourgeois gentilhomme*, i deputacyje wszystkich widowni paryzkich przybyły na ten obrzęd. Cena miejsc w dwójnasób podwyższoną została, a przychód przeznaczony jest na pomnik dla Moliera.

Znakomity malarz francuzki Gérard, którego wizerunki, tak w naturalnéj wielkości, jakoteż w miniaturze, w całéj Europie są znane, umarł w Paryżu dnia 11go stycznia w 66m roku życia. Był on ostatnim z trzech uczniów Dawida, co szkołę tegoż tak bardzo uświetnili. Girodet i Gros (dwaj z owych trzech uczniów) na kilka lat przed nim poszli do grobu.

W jedném z miast francuzkich odbył się nie dawno pojedynek między dwoma — *sędziami pokoju*, a jednym z sekundantów był także sędzia pokoju.

Romansowa bezinteresowność. O sławnéj niegdyś śpiewaczce *signora Tesi*, opowiada dr. Burney bardzo rzadki i osobliwy przykład bezinteresowności, iż ofiarowanéj sobie nader świetnéj partyi nie przyjęła.

Nie mniéj osobliwémi były środki, jakich używała do pozbycia się natarczywości swojego znakomitego zalotnika. Posłuchajmy co pisze o tém dr. Burnej: »Słynna śpiewaczka *signora Tesi*, która przed 50 laty (1773) nad inne wyszczególniała się, żyje dotąd w Wiedniu. Ma już przeszło lat 80, i dawno opuściła scenę. Historyja jéj życia jest dosyć ciekawa. Zostawała w związkach z pewnym hrabią, który również światłem jak znakomitym rodem wyszczególniał się, a który tak mocno ją pokochał, że jéj rękę swoję ofiarował, co wtedy w Niemczech bardzo wiele znaczyło. *Tesi* starała się odwieść go od tego przedsięwzięcia i wystawiała mu wszystkie złe skutki takich niestosownych związków małżeńskich, lecz hrabia, nie zważając na żadne dowody, był w przedsięwzięciu swojém nieugięty. Widząc nareszcie śpiewaczka, że wszystkie jéj zabiegi były w tym względzie nadaremne, wychodzi dnia jednego na ulicę, a spotkawszy przypadkiem ubogiego piekarczyka, ofiaruje mu 50 czerw. złotych, pod warunkiem, by się z nią ożenił, nie dla tego ażeby razem z nią mieszkał, lecz dla zamiaru, który zamyślała wykonać. Ubogi piekarczyk chętnie przyjął imię małżonka, i oboje wkrótce zaślubieni zostali. Gdy więc hrabia, ponawiając staranie się o jéj rękę, znowu się z zamysłem ożenienia oświadczył, odpowiedziała, że jest jéj niepodobna życzeniom jego zadosyć uczynić, ponieważ innego żoną zostawszy, zrobiła ofiarę, którą jego imieniowi i jego familii winną była.

Malarz umarłych Peuteman. Nigdy fantazyja żadnego poety tak dziwotwornych nie wymyśliła kombinacyj, iżby takowe w jakim czasie od rzeczywistości przewyższonémi nie zostały. Dowodem tego jest śmierć malarza Peuteman. Urodził się tenże w Rotterdamie r. 1650, umarłą naturę obrał za przedmiot swéj sztuki i w takich obrazach znaczną pozyskał sławę. Dostawszy raz polecenie zrobienia obrazu, na którym trupie głowy i kościotrupy, ozdobione drogiemi kamieniami i kwiatami, oraz muzycznémi narzędziami otoczone, próżność rozrywek światowych wystawiać miały, zamknął się dla tém lepszego naśladowania natury do muzeum anatomicznego pewnego lekarza, swojego przyjaciela, gdzie bardzo wiele szkeletów na drótach pozawieszanych, i gdzie mnóstwo głów trupich i kości rzędami poukładanych było. Peuteman z największą pilnością rysował i malował kościotrupy, ale trafiło się raz, że śród roboty zasnął. Kiedy więc spał, wzczęło się trzęsienie ziemi, które d. 18. września r. 1692 tak zgubném dla Rotterdamu było. Peuteman dotknięty tém wstrząśnieniem budzi się, lecz z przerażeniem widzi, jak trupie głowy skacząc, toczyły się jedna koło drugiéj, a kościotrupy klekocząc głośno, poruszać się zaczęły. Sadzi, że nadszedł dzień ostateczny i z przestrachu wyskoczywszy z drugiego piętra na ulicę, wpół-martwym na ziemię pada. Przyszedł do siebie, ale przyjaciele na próżno mu tłumaczyli, co było przerażenia się jego powodem, trwał w swojém okropném mniemaniu, dostał pomieszania zmysłów, i w kilka dni potém, w skutek przestrachu, umarł.

Ważne naukowe doświadczenie pa. Andrew Cross. Gazeta wychodząca w hrabstwie Somerset, w Anglii, zawiera następujący artykuł: »Z ukontentowaniem udzielamy naszym czytelnikom opisu następującego ważnego naukowego doświadczenia naszego sławnego sąsiada A. Cross. Wiadomo, że p. Cross nie dawno co odbył ze swoją galwaniczną bateryją szereg doświadczeń, w celu naśladowania przyrody w tworzeniu kryształów; przyczém wpadł na odkrycia, które zupełnie nowe światło na umiejętności rzuciły. (O tém donieśliśmy w Rozmait. z r. 1836, Nr 43. na str. 345). Przed kilką tygodniami przysposobił on do krystalizacyi płyn, zawiérający krzemionkę, i tak: rozpalił krzemień aż do białości, i w tym stanie wrzucił go w wodę, aby się w proszek rozsypał; a tak sproszkowaną krzemionkę nalał kwasem solnym, aż do przesycenia. Tę mieszaninę umieścił w małém naczyniu, w którém zawiesił wązki kawałek flaneli, tak, iż jeden jéj koniec po za brzég naczynia wystawał; tym sposobem rozciek siłą włoskowego *(kapilarnego)* przeciągania filtrował się, przechodząc przez flanelę do podstawionego cedzidła. Z tego zaś cedzidła padał ten płyn kroplami na kawałek rudy żelaznéj z Wezuwiuszu, połączonéj za pomocą dwóch drótów z dwoma biegunami *(polami)* bateryi galwanicznéj. Ruda żelazna została przed użyciem przepalona aż do białości, tak, iż wszelkiego w sobie ukrytego zarodu życia, musiała być tym sposobem pozbawioną. Pan Cross uważał codziennie dróty i śledził pilnie odbywanie się krystalizacyi. Czternastego dnia spostrzegł na rudzie kilka małych białych plamek; w cztery dni potém plamki te przedłużyły się i przybrały kształt owalny; wniósł on z tego, że to są początki tworzących się kryształów. Ale jakże wielkie było jego podziwienie, gdy dwudziestego drugiego dnia ujrzał ośm ramionek, czyli odnóżek, sterczących z każdéj z tych plamek, czyli białych ciałek, bo zaledwie, że mógł przypuścić, aby to miały być żyjące istoty. Lecz dwudziestego szóstego dnia podziwienie jego najwyższego doszło stopnia, albowiem nie mógł już bynajmniéj wątpić, że te ciałka były owadami ruszającémi się i jedzącemi; poźniéj pokazało ich się jeszcze 18 do 20. Wiele osób widziało te istoty, które między znanémi dotąd owadami nie mają sobie podobnych; w kształcie zbliżają się one do robaków z gatunku miękoszów *(Maden)*. Miały ośm nóg, cztery szorstkie wystawki, jakoby szczoteczki w tylnego końca ciała, a sam brzég ciała bardzo szorstki; poruszenia ich można było widzieć gołem okiem, kolor ich był szary, a substancyja do galarety podobna; zdawały się pożerać cząstki krzemienne cieczy. Najszczególniejszą przy tém zjawieniu okolicznością jest właściwość płynu, w którym te owady żyją i rosną, wiadomo bowiem, że kwas solny niszczy w jednéj prawie chwili wszelkie inne żyjące stworzenia. Drugie doświadczenie usunęło wszelką w rzeczywistości tego *factum* wątpliwość, i tak: kawałek krzemienia sproszkowano sposobem wyżéj opisanym, i bez użycia kwasu nadano mu pozorność galarety; tę massę połączono z dwoma biegunami bateryi galwanicznéj za pomocą dwóch w wężownicę zwiniętych srébrnych drótów, tak, iż płyn elektryczny ciągle tę massę obiegał. Po trzech tygodniach, gdy p. Cross oglądał bieguny dla śledzenia krystalizacyi, znalazł w jednéj z wężownic, jednego z tych szczególnych owadów. Przekonywa to, że te istoty biorą życie z krzemionki, nie zaś z kwasu. — Pan Cross ze zwykłą sobie skromnością poprzestał na samym tylko opisie swojego doświadczenia, i nie podał jeszcze naukowego wyjaśnienia; znosi on się w tym przedmiocie listownie z profesorem Bucklandem, a ostatni zrobił już naukowy rozbiór, którego wartość wykryją zapewne i ocenią powtórzone doświadczenia. Jeszcze i tę winniśmy tu zrobić uwagę, że te owady pokazywały się szczególnie przy ujemnym *(negatif)* biegunie bateryj. Jeden z niemieckich badaczy przyrody odkrył nie dawno, iż góry krzemienne, a nawet i inne, składają się głównie z pozostałości czyli zabytków owadów. Może tedy zaród nie jednego z tych owadów, uwolniony z więzi i poddany okoliczności sprzyjającéj rozwinięciu się sił życia, po śnie tysiąca lat, tym sposobem wskrzeszony został.«

Sprostowanie. W przeszł. Rozm, na str. 40, w przedz. 1széj, wierszu 5m od góry, miasto o*wocami*, powinno być owcami.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*